



Do „Nocy i dni" trzeba chyba dojrzeć! Ich wielkości także, w pozornej nieefektywności, w tym, co ukryte w najgłębszych warstwach. Mam świadomość, czego się podjąłem, trzęsą mi się ręce, mam tremę – a jednocześnie czuję się właśnie jak alpinista przed wspinaczką, gdy go pytają: po co? Nie odpowiadam. Chcę wejść na górę, nie myślę, czy odpadnę. Chcę wejść i spojrzeć

na świat stamtąd, skąd patrzyła Dąbrowska. Ona całe życie pisała „Noce i dnie”, udało jej się osiągnąć takie szczyty, że na ludzkie życie, na życie swego narodu spojrzała z lotu ptaka. Nie inscenizujemy tego filmu. My go hodujemy, pielęgnujemy jak ogrodnik ogród, jak rolnik pole. Przyrody nie można inscenizować, trzeba jej pozwolić – samej – włączyć się w nasze życie.



Pytają mnie – dlaczego robię ten film? Pytają alpinistów – dlaczego zdobywają te szczyty, odpadają ze ścian, giną? Po prostu chcą wejść na szczyt. Ja też. Ktoś może nie lubić „Nocy i dni", ale nikt nie zaprzeczy, że w tej książce zawarte jest po prostu kilkadziesiąt lat życia Polaków, los całego pokolenia.

Cztery pory roku. Ziemia, którą trzeba uprawiać. I przemijanie: czas, działanie czasu na materię. Film obejmuje czterdzieści lat życia. Nie tylko bohaterów, lecz i ludzi, którzy ich otaczają. Utarło się, że bohaterami „Nocy i dni" jest dwoje ludzi, Bogumił i Barbara. Ale przecież wraz z nimi idzie naprzód wszystko, idzie ku czemuś nieuchronnemu. Do kresu ludzkiego przeznaczenia.

Żyli, pracowali, dorabiali się…

I umarli… To właśnie owa piękna i wstrząsająca ballada o ludzkim bytowaniu. W literaturze jest niewiele książek utkanych z tak niematerialnych rzeczy: polskich mgieł, polskiego błota, ze śniegu, wichru… Suma tych elementów wtopionych w los człowieka jest czymś tak fascynującym…













CZĘŚĆ PIERWSZA



SKĄD TO NATCHNIENIE?

Kilka lat temu młoda dziennikarka postanowiła stworzyć dla telewizji mój portret. Pierwsze zadane mi pytanie brzmiało: „Skąd to natchnienie?". Nie miałem chwili wahania skąd. Niemal wszystko, czym karmiłem przez lata moją sztukę, ma swój początek na Wołyniu. A ściślej: we Włodzimierzu Wołyńskim. Ale czy to, co robiłem w sztuce, było dziełem natchnienia? Może to brzmieć staroświecko, ale tak.

Wierzę w potęgę natchnienia. W błogosławiony stan iluminacji. Ożywiona niewidzialnymi bodźcami, wywołuje drzemiące w kufrze pamięci emocje, które każą robić tylko to, a nie co innego, oraz nadawać dziełu kształt taki, a nie inny. Tak, początek mojej drogi do sztuki związany jest z Włodzimierzem.

Mała mieścina, jakby żywcem zdjęta z płócien Marca Chagalla, licząca trzy tysiące mieszkańców, z czego dziewięćdziesiąt procent to ludzie wyznania mojżeszowego, trudniący się głównie usługami dla wojska. Stacjonowały tu trzy garnizony: 27 Pułk Artylerii Lekkiej, Szkoła Podchorążych Rezerwy Artylerii oraz 23 Pułk Piechoty. ▪

MAGIA PRZEZNACZENIA

Sięgając pamięcią wstecz, pierwsze doznania mogę zarejestrować od szóstego roku życia, a więc gdzieś tak od 1935 roku. Od tej daty po dzień dzisiejszy życie moje obfituje w wydarzenia, których logika oszałamia. Wszystko jest zagęszczone, ale najbardziej zdumiewa konsekwencja, z jaką te zdarzenia łączą się, tworząc w pełni ukształtowany monolit, czyli – moją gotowość do otwierania i zamykania różnych etapów! Kiedy dzisiaj patrzę wstecz, doznaję wrażenia, że był to okres zaskakujących zwrotów. Przeznaczenie niemal prowadziło mnie na smyczy.

„Człowiek nie ma wyboru. Nosi w sobie swój los. Musi iść tam i robić to, na co skazało go przeznaczenie. Nikt nie stoi ponad przeznaczeniem. Zjawy senne są po to, aby ostrzegać, wydawać polecenia, grozić. Człowiek mając wypisany swój los raz na zawsze, musi go tylko odczytywać i wypełniać punkt po punkcie". Tych kilka zdań,

usłyszanych wiele lat temu od profesor Łopatyńskiej (o której będę więcej mówił w innym miejscu), uformowało moją filozofię patrzenia na wydarzenia dotyczące życia człowieka.

Oczywiście dzisiaj moja kariera jest faktem dokonanym, gdzie niewiele już można zmienić, a jedynie interpretować. Ale gdy patrzę na czasy, kiedy we wczesnym dzieciństwie wszystko wyłaniało się z chaosu, słowa te pomagają mi lepiej rozumieć, a właściwie odczuwać, jaki sens miało wtedy i nadal ma dla mnie słowo „los".

Przywiązywałem wielką wagę do snów. Od dziecka nakładały mi się one na realność dnia. W koszmarach sennych widziałem postacie, o których istnieniu mówiła profesor Łopatyńska. Pojawiały się, aby przestrzegać lub doradzać. Obecność pani Lidii w mym życiu będzie miała dla mojej kariery artystycznej niemal decydujące znaczenie.

Jak mówił Platon: „Nic nie dzieje się bez przyczyny". Patrząc wstecz na niemal matematyczną precyzję wydarzeń mojego życia, spróbujmy ustalić, czy były one dziełem przypadku, czy prowadzono mnie jednak… ▪

NA SMYCZY PRZEZNACZENIA

Kto lub co było bezpośrednim sprawcą decyzji, bo przecież przeznaczenie musi mieć twarze ludzi, którzy wykonują jego polecenia?

No właśnie, jakie to były twarze?

W czasie odpływu inwencji sięgam na chybił trafił po jakąś książkę. Otwieram ją na stronicy, której dotknie wskazujący palec, i czytam, wierząc, że odnajdę coś, co mnie odbuduje. Podobnie stało się i tym razem. Wyciągnąłem z półki książkę Anny Piwkowskiej zatytułowaną *Achmatowa, czyli kobieta*. Jest to biografia wybitnej rosyjskiej poetki, której życie przypadło na dwie epoki: czas carskiej Rosji, kiedy w wieku osiemnastu lat zaświeciła na niebie poezji jak meteor, aby nie zgasnąć do końca życia; oraz drugi okres, panoszenia się bolszewizmu, z kapturowymi sądami, fabrykowaniem procesów i mordami, których ofiarą stał się jej mąż Mikołaj Gumiłow. Był poetą, krytykiem, białogwardyjskim oficerem, odznaczonym dwukrotnie Krzyżem Świętego Jerzego za odwagę. Został rozstrzelany w 1921 roku wskutek

prowokacji i ohydnych donosów. A oto słowa, które zapamiętałem z dziennika Achmatowej:

„Dwadzieścia procent w każdych wspomnieniach sfałszowanych jest przez wyobraźnię, bowiem każda pamięć pamięta co innego. I pamięta inaczej. Pamięć ludzka ma to do siebie, że niczym reflektor wyświetla pojedyncze momenty, pozostawiając wokół nieprzenikniony mrok…".

I dalej: „Wspomnienia można pisać dwojako. Bardzo wylewnie, pielęgnując na kartach wszystkie, nawet najdrobniejsze epizody z życia, bojąc się, aby nie uronić czegoś, co mogło mieć decydujące znaczenie.

To jeden ze sposobów. Drugi natomiast to próba znalezienia milowych słupów, które wyznaczają drogę życiową bohatera biografii, prowadząc go do jakiejś wybranej kulminacji, pozostawiając napisanie ostatniego rozdziału losowi, który zamyka doczesną wędrówkę człowieka".

Achmatowa miała rację. Nawet przy najdoskonalszej pamięci nie sposób wywołać pełnej prawdy wydarzeń z dalekiej czy nawet najbliższej przeszłości. Ale ja jednak spróbuję dokonać rzeczy karkołomnej, wbrew temu, czego dowodzi Achmatowa: 1) Zrobię wszystko, aby przywołać w najbardziej wiarygodnym kształcie ludzi, bez których udziału nie byłbym tu, gdzie jestem. 2) Opiszę wydarzenia, które stanowiły najważniejsze ogniwa w mojej karierze. Ożywię ich klimat i znaki czasu. 3) Wreszcie, ustalę, jakie przeżycia odłożyły się w mojej emocjonalnej pamięci, stając się karmą dla przyszłych artystycznych dokonań.

Zdaniem Achmatowej: „Każda pamięć pamięta co innego i pamięta inaczej". No właśnie. Czy w mojej pamięci był taki moment, który można nazwać „początkiem drogi do sztuki?". Otóż bez wahania odpowiadam: Jest ich wiele! A oto pierwszy z nich: ▪

URODZIŁEM SIĘ W TEATRZE

Urodziłem się w miasteczku, w którym były trzy wspaniałe teatry. Bo czymże jest garnizon wojskowy, gdzie aktorzy ubrani są w kostiumy, innego kroju i wyglądu niż ubiór w cywilnym życiu? Gdzie wszystko odbywa się według z góry ustalonego scenariusza, a raczej regulaminu,

który trzeba respektować modlitewnie, niczym role w teatrze, nie zmieniając nawet przecinka?

Jakie to były teatry? Pierwszy to słynna na całą Polskę Szkoła Podchorążych Rezerwy Artylerii. Wszyscy członkowie tej szkoły byli elitą polskiej młodzieży z cenzusem, czyli po maturze. Ale specjalny ton tej placówce nadawali potomkowie polskiej arystokracji. Młodzi Potoccy, Radziwiłłowie, Lubomirscy…

Mówiąc o niezwykłości podchorążówki, zacznijmy od uniformu. A więc długie buty z cholewami, sięgającymi poza kolana, ozdobione ostrogami i tak starannie wyglansowane, że można się było w nich przeglądać. Dalej, mundur, opięty jak na manekinie, przylegający do każdego skrawka ciała, skrojony po mistrzowsku przez izraelickich mistrzów igły.

No i na koniec główna ozdoba, czyli ciężka artyleryjska szabla zwisająca luźno do pół uda na skórzanych szlejach, przyozdobionych kutasem, przy chodzeniu pętająca się wokół nóg. Szabli często używano do pojedynków, które acz niedozwolone, były często praktykowane, lub do zwykłych ulicznych burd, kiedy fantazja i szpan brały górę nad rozsądkiem. ▪

MÓJ TEATR

Drugim teatrem, w świetle blichtru i szpanu podchorążówki nieco niższego gatunku, był 23 Pułk Piechoty, w którym służył mój ojciec. Słowo „piechur" spychało ten „teatr" do kategorii prowincjonalnego. W przeciwieństwie do gwiazdorów podchorążówki, którzy z pychy niemal unosili się w powietrzu, dzwoniąc ostrogami, jego aktorzy musieli stąpać po ziemi w sznurowanych kamaszach, podbitych gwoździami, które dudniły prostacko.

Piechurów pozbawionych ozdobnych akcesoriów, takich jak ostrogi czy szabla, nazywano pogardliwie „szarakami". Zapominając, że według prawideł sztuki wojennej, respektowanej przez wszystkie armie świata, „ziemia zdobyta jest wtedy, kiedy stanie na niej noga piechura".

Wreszcie trzeci „teatr" to elitarny 27 Pułk Artylerii Lekkiej. Jego członkowie również chodzili w butach z cholewami specjalnego kroju, z ostrogami, i mieli szable u boku.

Urodziłem się w miejscu, które było ogromną sceną z dwunastoma tysiącami aktorów. Każdy z nich, zgodnie z wojskowym regulaminem, miał do odegrania rolę. Tak jak w teatrze. Prowadzącą. Główną. Średnią. Małą. Epizodyczną. Teatr z walką o pierwszeństwo był „małym piwkiem" w porównaniu z rywalizacją wojskową, w której obowiązują dyktatorskie rygory! I bezdyskusyjne decyzje zakutych w kajdany regulaminów „zupaków", jak nazywano bezdusznych dowódców.

A jednak w tej nieludzkiej hierarchii wartości główny ton miastu nadawali podchorążowie. Capstrzyki, parady, najbardziej wyszukane prezentacje „szpanu" miały jeden cel: wywoływać uniesienia, powalać, zmuszać do *standing ovation*. Kiedy przy dźwiękach dętej orkiestry szli z pochodniami przez miasto, po grzbiecie pełzały ciary. Wtedy chyba po raz pierwszy zobaczyłem, co w teatrze znaczy oświetlenie. Szare, pozornie martwe i nieefektowne kształty w blasku światła nabierały innego wymiaru. ▪

POCZĄTKI OSZOŁOMSTWA

Urok wojska porywał mnie, niemal oszałamiał jak narkotyk. Święta pułkowe, uroczyste przysięgi, defilady, gry wojenne, a potem same manewry, podczas których w pocie czoła doskonalono wojenne rzemiosło – wszystko to wsiąkało w moją duszę. Ojciec udawał się na manewry z całą rodziną, tak więc ani na chwilę nie rozstawałem się z wojskowymi gwiazdorami i ich regulaminowym szpanem.

Od najmłodszych lat żyłem poniekąd w nierealnym świecie. Codzienne zdarzenia zdawały się mnie nie dotyczyć. Oczywiście dostrzegałem je, ale tylko sprawy, którymi interesowałę się bezpośrednio, potrafiły pochłonąć moją uwagę bez reszty. Wszystko inne pozostawało daleko za mną. Stany te były powodem zmartwień rodziców.

Mama wiele razy próbowała przywoływać mnie do rzeczywistości, kazała słuchać poleceń. Robić nie to, co mi dyktuje fantazja, a to, co nakazują obowiązki. Bez skutku… W przeciwieństwie do brata, który był uporządkowany, pedantyczny, skupiony, ja byłem rozlatany, nerwowy, gubiący wątek. Chyba nieraz obawiano się u mnie początków zaburzeń psychicznych. I to wywoływało chmurę troski na twarzach

mamy i ojca. Ale moją uwagę pochłaniał bez reszty ten dziwny świat, gdzie dorośli bawili się jak dzieci.



Czołgali się w kurzu i błocie, pokonywali w pełnym rynsztunku tor przeszkód, rowy z wodą, które trzeba było przebrnąć wpław, unosząc karabin wysoko ponad głową, no i wreszcie niewolniczo ćwiczyli krok defiladowy, unosząc nogi na przepisową wysokość, w rytmie wulgarnych słów kaprala.

Wtedy to zapoznałem się z żargonem świata wojskowego, który bardzo mi się podobał. Zwróciłem uwagę na to, że po każdej serii wulgaryzmów efekty wysiłków były coraz lepsze. Lekcje obscenicznego języka wojskowego zapadły we mnie głęboko. Toteż czasami w mojej robocie reżyserskiej sięgałem do tych wzorców dla dodania sobie animuszu.

Dość wcześnie dostrzegłem też, że ostateczny rezultat rodził się pod dyktando jednego człowieka, który nadawał ton całości. I bardzo często, patrząc z boku na zbiorowy wysiłek żołnierzy, marzyło mi się, aby stanąć na ich czele i wydać komendy! ▪

POSTANOWIŁEM, TAK JAK OJCIEC, ZOSTAĆ WOJSKOWYM



W rodzinie ojca, poczynając od dziadka Romana, wszyscy byli przesądni do śmieszności i wierzyli we wróżby. Kiedy w 1914 roku ojciec zgłosił się na ochotnika do wojska i szedł na wojnę, wybrał się do słynnej w Częstochowie wróżki Leokadii, aby mu powiedziała, co go czeka. Usłyszał: „Wrócisz cały i zdrowy i na starość umrzesz w łóżku".

Nie opowiadał, co robił na wojnie. Zapamiętałem takie zdanie: „Zabijanie, choćby to był wróg, jest czymś obrzydliwym". Z wojny wrócił przyozdobiony Krzyżem Walecznych. W 1923 roku wstąpił do Oficerskiej Szkoły w Bydgoszczy.

Jako słuchacz ostatniego roku, jadąc w 1925 roku na święta do rodzinnego domu w Częstochowie, spotkał w pociągu dwie urodziwe kobiety. Była to babcia Musikowa i mama, która w chwili tego spotkania miała dziewiętnaście lat. Zakochał się w niej bez pamięci. Niebawem poprosił ją o rękę i oświadczyny zostały przyjęte.



Niestety na przeszkodzie stanęły mu rygorystyczne przepisy regulaminu szkoły. Jej słuchacz miał prawo do ślubu dopiero po skończeniu studiów i nominacji na stopień oficerski. Ojciec złożył więc prośbę o wyjątkowe potraktowanie sprawy.

Ale wojsko nie toleruje wzniosłych odruchów. Rozkaz komendanta szkoły brzmiał: „Albo rezygnacja ze ślubu, albo opuszczenie szkoły ze stopniem chorążego". Była to „żelazna ranga", zamykająca mu drogę do dalszych awansów na całe życie. Ojciec wybrał małżeństwo i w stopniu chorążego został przydzielony do 23 Pułku Piechoty we Włodzimierzu Wołyńskim.

Koszary pułku ojca były zlokalizowane w pomieszczeniach, gdzie w czasach carskiej Rosji stacjonował wyborowy gwardyjski pułk cara Mikołaja I. Mieszkanie rodziców było okazałe. Mieściło się w parterowym kompleksie i składało z pięciu pomieszczeń. Ozdobą całości był olbrzymi salon z brzuchatym piecem w stylu starorosyjskim. Utrzymywał ciepło czterdzieści osiem godzin! A zimy na Wschodzie w tym czasie biły rekordy, normą było czterdzieści stopni poniżej zera.

Pewnej takiej zimy, kiedy podobno nawet oddech zamarzał, dwudziestego piątego grudnia 1929 roku, kilka minut przed północą, przyszedłem na świat. ▪





KAPITAN IZYDOR KANTOR

Kapitan Izydor Kantor, syn rabina z Łucka, był odpowiedzialny w pułku za „kulturę i propagandę". Obdarzony zapamiętaniem i obsesją sztuki we wszystkich jej wymiarach, stał się oszalałym organizatorem życia artystycznego garnizonu.

Kapitan Kantor był w wieku ojca, a więc miał wtedy czterdzieści lat. Jego czarne, przenikliwe oczy ukryte były pod ciężkimi powiekami. Ale w chwilach szczególnych unosił je i wtedy spojrzenie nabierało

niepokojącego blasku, który niemal obezwładniał. Czarne zmierzwione włosy nieustannie przeczesywał długimi palcami.



Na zdjęciu ogólnego planu ja siedzę na koniu. Na drugim planie, w grupie, widzimy (patrząc od lewej strony) moją mamę, ojca, żonę kapitana Kantora Sarę oraz jego samego. Kapitan Kantor grał fenomenalnie na skrzypcach, tak jak i jego żona. Ponadto posiadał dwa atrakcyjne dary: zajmował się numerologią oraz czytaniem przyszłości z kart.

Jego dostęp do czytania ludzkich losów i trafność przepowiedni zjednały mu tabuny wielbicieli. W trzech garnizonach wojskowych Włodzimierza miał przynajmniej kilka tuzinów chętnych do poznania przyszłości. Byli wśród nich koledzy wojskowi różnych rang i wyznań oraz ich żony. Przyjeżdżali do niego na seanse artyści z całej Polski, a nawet dygnitarze z Warszawy.

Wiedza i tajemnicze szyfry kart przechodziły w rodzinie cadyka Mosze Kantora z ojca na syna. Beneficjent musiał być zawsze rodzaju męskiego, a przekazanie tej wiedzy miało następujący rygor: tylko

jedna osoba w rodzinie mogła pozyskać wgląd do tajemnicy. Musiała posiadać bardzo specyficzne predylekcje, które gwarantowały uczciwość w czytaniu ludzkich losów. Gdyby ktoś oddał te dary w niewłaściwe ręce albo sprzedał tajemną wiedzę, miała dosięgnąć go klątwa. ▪

WIZJONER

Działalność kapitana Kantora szła w wielu kierunkach. Razem z żoną stworzył kwartet, grający utwory muzyki klasycznej, organizował wieczory poetyckie, opracowywał scenariusze uroczystości pułkowych. Rocznice jedenastego listopada i trzeciego maja według jego pomysłów stawały się wspaniałymi kostiumowymi spektaklami.

Kapitan Kantor był wizjonerem. A ponieważ miał do dyspozycji niezliczoną ilość rekwizytów i aktorów, niemal każda jego produkcja kipiała życiem, jak wielkie malarskie płótna Matejki. Mam przed oczyma widowisko z okazji jedenastego listopada 1937 roku. Dzień ten był szczególnie celebrowany przez wojsko, bowiem przypominał o radosnej chwili, kiedy po stu trzydziestu latach niewoli Polska odzyskała niepodległość.

W 1937 roku miałem osiem lat i dość dobrze zarejestrowałem szczegóły rodzenia się widowiska. Kantor znalazł oparcie w moim tacie i majorze Lucjanie Burtanie. Był to dawny oficer carskiej konnej gwardii, a potem uczestnik walk o niepodległość Polski w latach 1914–1920. Odznaczono go Krzyżem Virtuti Militari, którego nigdy nie odpinał od munduru.

W Szkole Podchorążych odpowiadał za doskonalenie techniki jazdy konnej. Ponadto razem z moim ojcem zasłynął cyklem niezwykłych wykładów. Brali w nich na warsztat postacie Napoleona, Juliusza Cezara oraz Aleksandra Wielkiego i dokonywali analizy ich największych bitew, komentując ich uzdolnienia militarne oraz dyspozycje psychofizyczne.

Kiedy w 1938 roku, w rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości, marszałek Rydz-Śmigły, aby pokazać Niemcom potęgę polskiego oręża, postanowił zorganizować pod Łuckiem wielkie manewry na

niespotykaną dotąd skalę, kapitan Kantor był jednym z autorów scenariusza oraz głównym inscenizatorem.



Byłem na tych manewrach. Ten genialny obraz Wojciecha Kossaka to alegoria tego, co tam widziałem. Huk kopyt i ryk z tysiąca gardzieli jeźdźców trzymających szable w dłoni przypominał niemal trzęsienie ziemi.

Przyglądanie się z bliska dyrygenturze kapitana Kantora było dla mnie bez wątpienia początkiem budzenia się moich reżyserskich inklinacji. ▪

POMNIK Z MIŁOŚCI

Koszary 23 Pułku Piechoty były zlokalizowane w pomieszczeniach, w których w czasach carskiej Rosji stacjonował wyborowy gwardyjski pułk cara Mikołaja I. Pierwszym dowódcą tego pułku był książę Iwan Galicyn, ożeniony z aktorką o imieniu Nina. Niestety nie pamiętam jej scenicznego nazwiska. Była podobno zjawiskowo piękna i wybitnie utalentowana. Po objęciu przez męża funkcji dowódcy pułku przeniosła się razem z nim do Włodzimierza. Nie zrezygnowała jednak z zawodu i kilka miesięcy w roku spędzała w Moskwie albo w Petersburgu na występach, odnosząc wielkie sukcesy.

I nagle stała się tragedia. W czasie konnej galopady po polach koń, biorąc przeszkodę, potknął się i wyrzucił Ninę z siodła. Padając na ziemię, uderzyła głową o kamień i poniosła śmierć na miejscu. Książę Galicyn postanowił uczcić pamięć ukochanej żony i zbudował w środku koszar przepiękny teatr, do którego zapraszał na gościnne występy trupy aktorskie z Moskwy i Petersburga. ▪

12 MAJA 1935 ROKU UMIERA MARSZAŁEK PIŁSUDSKI

Kraj ogarnęła żałoba. Ale ledwie ucichły rozchodzące się z Wawelu echa dźwięków dzwonu Zygmunta, odprowadzających marszałka na wieczny spoczynek do Krypty Srebrnych Dzwonów, jak Polska długa i szeroka odbywały się uroczyste akademie ku czci zmarłego wodza.

Wydarzenie, które opiszę, odbyło się pod koniec maja. W teatrze zaplanowano uroczystość.

Scenariusz akademii przygotowanej przez kapitana Kantora jak zawsze skrzył się pomysłami. Oboje z żoną grali fenomenalnie na skrzypcach. Ich występ stanowił jeden z ważnych punktów programu. Ale to zakończenie miało poderwać widownię z krzeseł i wywołać jej euforię. Przy dźwiękach orkiestry dętej wojskowy chór miał wykonać słynną legionową pieśń: *My, pierwsza brygada*.

Kiedy przebrzmiały ostatnie strofy, światła miały zgasnąć, aby punktowy reflektor mógł wyłapać wyłaniającego się z szeregów wojska kilkuletniego chłopca, który podejdzie na przód sceny i wyrecytuje wierszyk specjalnie ułożony na tę uroczystość. Miał go wykonać syn majora Krzymuskiego, Stasio, mój kolega z przedszkola, posiadający talent recytatorski.

Nasza przedszkolanka miała zwyczaj czytania jakiejś bajki albo krótkiego opowiadania i potem kazała je powtarzać w dosłownym brzmieniu, aby gimnastykować w ten sposób naszą pamięć. W tych ćwiczeniach jako jedyny w klasie potrafiłem powtórzyć je słowo w słowo.

Nieoczekiwanie los chwycił w pazury smycz mojego życia. Do naszego domu wpadł zrozpaczony kapitan Kantor. Krzyczał: